

# ROZDZIAŁ 1

## Czy leci z nami Szkodnik?

Marcin Pałasz  
**Od ucha do ucha**

© by Marcin Pałasz  
© by Wydawnictwo Literatura

*Okladka i ilustracje:* Katarzyna Kołodziej  
*Redakcja:* Agnieszka Hałubiec  
*Korekta i skład:* Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I w Wydawnictwa Literatura  
Łódź 2021

ISBN 978-83-7672-929-9

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl



Nowa wiadomość

Od: Szkodnik

Guciu, byłem już na tarasie widokowym i widziałem ten samolot! Jest okropnie duży!!! Boję się strasznie.



Nowa wiadomość

Od: Gucio

A ja Ci zazdrozczę!!! Raz leciałem i było super! Mój tata ciągle gdzieś lata i nigdy nic się nie stało. Nie bój żaby!

Nie bój żaby – pomyślał Szkodnik ponuro, chowając smartfon do kieszeni. Jasne, łatwo Guciovi powiedzieć...

Gwałtownie odwrócił głowę i nagle usłyszał cienki, dziewczęcy głos:

– Tatusiu, ten chłopczyk ma jakiś dziwny kolor.

To zaskakujące stwierdzenie padło z ust rudowłosej dziewczynki, która stała w kolejce do odprawy lotniskowej tuż przed Szkodnikiem, Piotrkim oraz ich mamą i tatą.

– Wcale nie dziwny – mruknął Szkodnik, obrzucając dziewczynkę niechętnym spojrzeniem. – Moim zdaniem jest to kolor sinokoperkowy. A w ogóle to wolę być sinokoperkowy niż mieć włosy koloru zgniłej marchewki. Jasne?!

– Ależ Ferdynandzie! – mama Szkodnika drgnęła nerwowo, słysząc te słowa. – Jak możesz? Tak nie wolno! Ona jest mniejsza od ciebie, nie powinienes dokuczać młodszym dziewczynom! I w ogóle nikomu!

Szkodnik był oburzony. Nie lubił, gdy ktokolwiek zwracał się do niego, używając prawdziwego imienia. Musiał jednak przyznać, że kolor jego twarzy faktycznie mógł budzić pewne zaniepokojenie, co zresztą przed chwilą sam stwierdził, widząc się w lustrze w toalecie. Z kilku powodów czuł się bowiem trochę niepewnie.

– I co z tego, że jest mniejsza? – burknął gniewnie, nie zwracając uwagi na karcące spojrzenie pana w niebieskiej koszuli, trzymającego dziewczynkę za rękę. – Niedługo podrośnie i pewnie będzie większa ode mnie. Wiesz, mam, że dziewczynki dojrzewają szybciej? Ale w sumie masz rację. Zgniła marchewka to nie jest dobre określenie.

– Uff – wyrwało się pani Wiesławie, bo jej młodszy syn rzadko kiedy przyznawał się do błędu. Jednak ulga opuściła ją równie szybko, jak przyszła.

– Zgniła marchewka jest zielona – skorygował Szkodnik po krótkim namyśle. – Więc ta tutaj jest po prostu bardzo dojrzała. Taka zwyczajna stara marchew.

– Moja córka ma włosy koloru zachodzącego słońca – rzekł surowo pan w niebieskiej koszuli, nachylając się w ich stronę.

– Zawsze jej to powtarzam, bo dzieci czasem się z niej śmieją. Rozumiesz, młody człowieku? To jest kolor zachodzącego słońca!

– Po każdym zachodzie w takim kolorze przychodzi burza – rzekł Szkodnik cierpko, przestępując z nogi na nogę. – Więc niech pan lepiej uważa, bo moim zdaniem, szkody w otoczeniu będą znaczne. Tato, pójdę po coś do picia. Zaraz wrócę. Mogę? – Szkodnik szybko zmienił adresata i temat rozmowy.

Pan w niebieskiej koszuli zakrztusił się i zamilkł, dziewczynka wyglądała, jakby za moment miała się rozplakać, tata Szkodnika zaś głęboko odetchnął.

– Możesz – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Przed nami jeszcze spora kolejka, więc trochę to potrwa. Masz tu dziesięć złotych.

– Przynies mi przy okazji butelkę coli – mruknął Piotrek, spoglądając na młodszego brata z czymś w rodzaju podziwu połączonego ze zgrozą.

– I tak każą ci ją wyrzucić przy bramkach – bąknął Szkodnik, patrząc na ludzi, którzy po przejściu przez wykrywacz metali, najczęściej wracali i ściągali buty oraz paski do spodni, po czym przechodzili jeszcze raz. Akurat na ich oczach ochrona lotniska odprowadziła gdzieś na bok poważnie wyglądającego pana w garniturze. Ten widok sprawił, że Szkodnik poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Plan, który przygotował z tak wielkim poświęceniem, mógł nie wypalić! Skąd jednak miał wiedzieć, że ta cała lotniskowa ochrona jest tak skuteczna i skrupulatna?!

Droga do holu, gdzie mieściły się kioski z napojami, była dość krótka. Mimo to Szkodnikowi z pewnych powodów

szło się ociężałe. Wtedy właśnie pomyślał, że być może jego znakomity plan nie był aż tak dobry, jak mu się wcześniej wydawało...

Gdy wracał z butelką coli dla Piotrka, jednocześnie popijając ze swojej butelki napój herbaciany o smaku brzoskwiniovym, jego wzrok padł na bardzo bladego, młodego mężczyznę, który siedział na niebieskim krzeselku pod ścianą. Kolor jego skóry można było określić tylko jednym słowem, i właśnie wtedy Szkodnik nie wytrzymał. Przystanął, wspiął się na palce, sprawdził, czy rodzice i Piotrek są jeszcze daleko od bramki z wykrywaczem metali, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do siedzącego pod ścianą faceta.

– Pan też jest sinokoperkowy – rzekł krótko i konkretnie, siadając obok. – Boi się pan latać, czy jak?

Blady mężczyzna, kurczowo ściskając w dłoni aktówkę, spojrzał na niego nieprzytomnie.

– Jaki ja jestem?! – spytał, odsuwając się lekko. – Co powiedziałaś?

– Spokojnie, niech pan się nie martwi! – pocieszył go Szkodnik. – Sinokoperkowy. Niektórzy po prostu boją się latać i stąd te problemy. Pan dokąd?

– Słucham? – bąknął rozpaczliwie nieznajomy. – Nie rozumiem. Czy ja wyglądam na osobę, która boi się latać?

– No, ba! – prychnął Szkodnik.

Jeszcze raz przyjrzał się ciemnowłosemu facetowi i uznał, że wzbudza on względne zaufanie. Z oczu patrzyło mu dość dobrze, a przynajmniej tak zwykł mawiać jego dziadek. Zresztą tu, na lotnisku, nikt nie powinien się rzucić na małego



Szkodnika w niecnym celu, o których tyle się słyszało w radiu czy w telewizji.

– Rozumiem, że to „ba” miało znaczyć, że wyglądam na osobę, która czuje gigantyczny strach przed lataniem? – odparł sceptycznie mężczyzna.

– Pewnie leci pan pierwszy raz i ogarnia pana panika, tak? Czytałem o tym – rzekł Szkodnik możliwie optymistycznie, choć myśl o samolocie sprawiała, że on sam też był sinokoperkowy. – Niech pan się nie martwi. Podobno samoloty są najbezpieczniejszym środkiem transportu na świecie!

– Super – mruknął facet, po czym odłożył aktówkę na podłogę. – Myślisz, że o tym nie wiem?

Prawdę mówiąc, Szkodnik miał nadzieję, że nowy znajomy rozwiąże przynajmniej jeden z dwóch problemów, które dręczyły go w tej chwili – czyli strach przed lataniem. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że gdy boją się dwie osoby,

to łatwiej to znieść. Była to jednak płonna nadzieja, bo widok roztrzęsionego faceta bynajmniej nie poprawił mu humoru.

– No, kurczę – westchnął od serca, biorąc kolejny łyk pseudobrzoskwiniowego napoju o podejrzanym składzie chemicznym. – Ale przynajmniej mam z kim o tym pogadać. No, chyba że woli pan siedzieć sam? Poza tym nie powiedział pan, dokąd leci.

– Do Warszawy – rzekł smętnie mężczyzna. – Bo tak było najszybciej, a w dodatku tylko o sto złotych drożej niż pociągiem. I po co mi to było?

– Bo szybciej – odparł rezolutnie Szkodnik. – No i drożej. Niech pan to sobie powtarza.

– Nie powinienem przyznawać się dzieciom, że boję się latać – powiedział ponuro mężczyzna, patrząc w przestrzeń przed sobą. – To nie jest... nie jest...

– Humanitarne? – podsunął Szkodnik życzliwie. – Ma pan rację. A tak w ogóle, jestem Szkodnik. A pan?

– Nie jestem szkodnikiem! – zdenerwował się zniecierpliwiony rozmówca. – I nie mów tego głośno, bo zaraz mnie zatrzyma ochrona. Mam na imię Marcin, lecę do stolicy, i to nie odrzutowcem, a czymś ze śmigłami!

– Ja przynajmniej lecę odrzutowcem – poinformował go dumnie Szkodnik. – Boeingiem 737. Taki duży, ma dwa silniki. Myśli pan, że jeśli jeden odpadnie, to na drugim da się wylądować? Bo lecę razem z rodzicami i bratem do Tunezji, na wczasy. Oni mówią, że to fajnie, ale jak dla mnie, to będzie tam za gorąco.

– Do Tunezji lata się najwcześniej w październiku – mruknął pan Marcin odruchowo i obrzucił Szkodnika pierwszym

bardziej przytomnym spojrzeniem. – Jak to „Szkodnik”? Przecież nie masz tak na imię, prawda?

– Nie mam – zgodził się chłopak posepnie, stawiając swoją niewielką torbę podrózną na podłodze, między stopami. – I nawet niech pan nie pyta, bo i tak nie powiem, jak mam naprawdę na imię. Wszyscy mówią na mnie „Szkodnik” i to powinno wystarczyć.

– Wystarczy – padła niespodziewana odpowiedź, a chwilę potem pan Marcin nagle się roześmiał. – Na mnie mówią Kajtek. I też nie powiem ci dlaczego. To co, złożymy sobie wzajemnie obietnicę, że postaramy się nie bać tych samolotów?

– Myśli pan, że to pomoże?

– Warto spróbować. Ja w każdym razie obiecuję. No, kolej na ciebie!

– Dobra, to ja też – zgodził się Ferdynand, bo zaszkodzić to na pewno nie mogło, a może nawet przynieść ulgę. – Czyli nie stchórzy pan i polecą, tak?

– A mam inne wyjście? – zdumiał się pan Marcin, po czym głęboko westchnął. – Żona mnie zamorduje, jeśli teraz wrócę do domu, zamiast lecieć w delegację.

– Może pan jechać pociągiem – podsunął Szkodnik. – Nam byłoby trudniej, bo do Tunezji chyba nie jeździ żaden ekspres...

– Niedoczekanie. Pięć godzin w jedną stronę?! Jestem duży i dam sobie radę w samolocie.

– Ja nie jestem duży i nie wiem, czy dam sobie radę... – wyrwało się Szkodnikowi, zanim zdążył ugryźć się w język. – No i proszę, co pan narobił najlepszego? Teraz zaczynam się zastanawiać, czy to normalne, żeby tak się czegoś bać!

– A czy to w czymś szkodzi? – spytał krótko pan Marcin, nagle wstając i patrząc ciepło na chłopca. – Mamy w życiu takie sytuacje, kiedy się czegoś boimy, prawda? Każdy ma. Niektórzy boją się latać, inni jeździć samochodem, inni boją się mikrofalówek albo... sam nie wiem, na przykład wstawać z łóżka lewą nogą.

– Nie boję się mikrofalówek! – zaprotestował Szkodnik słabo. – Przecież w kuchence robię sobie hamburgery.

– Niezdrowo – skarcił go pan Marcin. – Choć przyznam ci się, że od czasu do czasu też odgrzewam sobie hamburgera w mikrofalówce. No, ale jesteś przecież facetem?

– Co, nie wyglądam? – oburzył się Szkodnik i prawie poderwał się z niebieskiego krzeselka. – Jeśli tak...

– No właśnie wyglądasz – uniósł dłoń pan Marcin. – A wiesz, co to są stereotypy?

W pierwszej chwili Szkodnikowi przyszedł na myśl jego zestaw do odtwarzania muzyki, ale już w drugiej nagle pojął, o co chodziło jego rozmówcy.

– Rozumiem – westchnął głęboko. – Chodziło panu o stereotypowego faceta, tak?

– Jesteś dzieciakiem, ale chwytasz bezbłędnie! Ile masz lat, jedenaście? – w głosie pana Marcina słychać było podziw. – A zresztą, przepraszam. Bo przecież dorosłym można być w każdym wieku.

– Mam dziesięć lat, a nawet prawie jedenaście – mruknął Szkodnik beznadziejnie. – Czy to wystarczy?

– W twoim przypadku na pewno. Czyli rozumiesz, że facet...

– Facet ma być niezniszczalny i kuloodporny. I nie bać się latania, a przynajmniej tego nie okazywać, tak?

– Ech – bąknął z zadumą pan Marcin, wpatrując się w tablicę odlotów. – Temat wymaga kontynuacji, ale... O mój Boże, jeśli teraz tam nie pójde, to nie wpuszczą mnie na pokład!

– Ferdynand!!! – wrzasnął ktoś z oddali. – Gdzie jesteś?!

– Jak można mieć na imię Ferdynand? – mruknął pan Marcin i ponownie spojrzął na Szkodnika, który nagle zmarkotniał, gdyż rozpoznał zarówno wołający głos, jak i imię. – Chociaż... mieć takie imię i być uśmiechniętym – to jest coś!

Szkodnik prychnął, gdyż komentarz wydał mu się stanowczo nie na miejscu.

– Ferdynandzie? – to słowo padło niczym grom z jasnego nieba, a gdy pan Marcin spojrzął na niego, w jego uśmiechniętych oczach skrzyły się łobuzerskie iskierki. – Leć bezpiecznie!

No, przecież wiem, że to o ciebie chodziło. Masz przy torbie plakietkę z imieniem i nazwiskiem. Baw się dobrze w Tunezji!

– Postaram się – szepnęła Szkodnik, któremu nagle zrobiło się żal, że jego sympatyczny towarzysz leci gdzie indziej, i pobiegł do swojej kolejki.



– Ferdynand?! – usłyszał oburzony głos dokładnie wtedy, gdy patrzył na pana Marcina przekraczającego śmiało bramkę do hali odlotów krajowych. – Śmiałeś się ze mnie, a masz na imię Ferdynand?! A więc, Ferdynandzie, ja mam na imię Angela! I popamiętasz mnie podczas tego lotu, bałwanie! Obiecuję ci to!

Szkodnik mógł tylko bezradnie patrzeć na rudowłosą dziewczynkę, która stała nad nim, wpatrując się w niego nie-nawistnym wzrokiem.



Ledwo zdążył. Jeden z ochroniarzy usiłował akurat włączyć laptop, należący do niewinnie wyglądającej kobiety, stojącej w ogonku tuż przed nimi. Z jakichś powodów laptop nie chciał się uruchomić i to najwyraźniej bardzo nie podobało się ochroniarzowi. W dodatku jego kolega wyciągnął z bagażu podręcznego pasażerki kosmetyczkę, pogrzebał w niej chwilę, wyciągnął plastikową butelkę z jakimiś medycznymi oznaczeniami, po czym zamarł.

– Co to jest? – spytał surowo. – Czy to jakiś płyn?

– Tak – odparła kobieta znękanym głosem. – To jest płyn do soczewek kontaktowych.

– Czy ma pani na to receptę?

– Słucham? – przestraszyła się kobieta, cofając się o krok.

– Jaką znowu receptę?! Soczewki nosi się zamiast okularów, proszę pana! A płyn kupuje się bez żadnej recepty!

– Jeśli nie ma pani recepty, to musi pani to wyrzucić przed wejściem do hali odlotów – oświadczył ochroniarz, wyglądając bardzo groźnie i profesjonalnie w swoim antyterrorystycznym stroju. – Do samolotu nie wolno wносить żadnych płynów.

– Nie mam recepty. A czy wy macie na lotnisku okulistę? Ochroniarza chyba zdziwiło to pytanie.

– Proszę pani, to jest lotnisko, jak sama pani zauważyła, a nie przychodnia rejonowa. Proszę to wyrzucić do tamtego pojemnika.

– Dobrze – zgodziła się niespodziewanie kobieta i zaczęła się histerycznie śmiać. – Wyrzucę, oczywiście. Tylko w takim razie poproszę jeszcze o pana imię, nazwisko i numer telefonu.

– Słucham?! – zdumiał się ochroniarz. – A po co pani takie informacje?

– A po to, że jeśli dziś wieczorem nie będę mogła zdjąć moich soczewek i umieścić ich w tym płynie, to dostanę zapalenia spojówek. Nie sądzę zaś, aby w Tunezji sklepy optyczne były na każdym rogu, tym bardziej w hotelu na wyspie. Więc potrzebuję pana danych, aby pozwać pana po powrocie o odszkodowanie z powodu utraty wzroku. Czy teraz pan rozumie?

Umundurowany antyterrorysta zamarł na chwilę, wpatrując się w buteleczkę, a potem delikatnie włożył ją z powrotem do kosmetyczki.

Kobieta otarła łzy, płynące jej ze śmiechu, uspokoiła się nieco, przeszła przez bramkę, która o dziwo nie zapiszczała, wzięła z taśmy swoje bagaże i poszła dalej.

– Szkodnik? – szepnęła nerwowo mama. – Teraz my. Tylko pamiętaj, żebyś był dla nich miły i się nie kłócił. Oni tak muszą, to ich praca, rozumiesz?